

prawie wszystkich, którzy wpadli do wody, tak, że tylko kilka osób zdołało uchwycić się liny od promu i, przy jej pomocy, utrzymywać się na powierzchni. Kilku jeszcze, lepszych pływaków, dopłynęło do brzegu, reszta — zginęła w nurtach łachy, której głębokość w tym miejscu wynosi 4 metry, a nieco niżej dosięga 9 ciu.

Dopomagał w ratowaniu jakiś huzar grodzieński: udało mu się wydobyć ciała dwóch chłopców. Ciała te poddano na brzegu bujaniu na prześcieradłach — bezskutecznie jednak. W chwilę potem siecią wydobyto zwłoki młodej kobiety, lat dwudziestu kilku, potem dziewczynki, lat około dziesięciu, wreszcie kilkunastoletniej panny. Przy wydobywaniu zwłok — na brzegu rozgrywały się rozdzierające sceny, gdy rodzice poznawali w topielcach dzieci, bracia — siostry. Bohatersko przy ratowaniu odznaczyła się 9 cioletnia Franciszka Kaźmierska, która, umiając doskonale pływać, nie tylko sama się wyratowała, ale nadto wyciągnęła również na brzeg jakiegoś dorosłego mężczyznę. Zmoczony dziecko rozebrano i przeniesiono do jednego z mieszkań dworskich dla ogrzania i osuszenia. Gdy dziewczynka przyszła do siebie — nie było jej w co nawet ubrać, gdyż jakiś łotr ukradł jej ubranie. Przy ratowaniu topielców czynni byli również doktorzy Monsiorski i Stroynowski, wioślarze, którzy na wieść o katastrofie, z Wisły zajeżdżali łachą do Wilanowa. Ogółem wydobyto z wody zwłoki pięciu topielców; kilkanaście osób udało się wyratować; pozostałe poniosły śmierć w nurtach łachy. Ile ich jest — na razie dokładnie obliczyć niepodobna.



Specjalnie dla „Nowości Illustr.“ fot. Nemo.

Zatonięcie promu z 60 ludźmi: Katastrofa w Wilanowie pod Warszawą w niedzielę po odpuszczeniu; zatonięcie 60 osób przeprawiających się promem przez łachę wiślańską z parku wilanowskiego do Marysina: pierwsze ofiary, wydobyte z wody.

„Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

Napisał Bronisław Mazowiecki.

17 (Ciąg dalszy).

Ale pani przerwała jej pytaniem:

— A czy Moszko jest tu jeszcze?

— Siedzi w kuchni, proszę pani — i grzeje się przy piecu...

— Zawołaj go tutaj, Magdusiu...

Za chwilę wszedł faktor do jej pokoju, a dziewcziczka nakazawszy Magdzie co prędzej przynieść do łóżka gorącego mleka, gdyż ciągle jeszcze drżała z zimna, przywołała Moszka bliżej i po jej słuźce, wdała się z nim w rozmowę, którą starała się umyślnie prowadzić szeptem cichym.

Propozycya, jaką dziedziczka zrobiła faktorowi, wydawała jej się tak łatwą do przeprowadzenia, że ani na chwilę nie przypuszczała ona, by mogła natrafić na jakie trudności, skoro już los tak szczęśliwie sprowadził zaraz pierwszego dnia na folwark wsędobylskiego żydka.

Tymczasem od razu faktor odmówił.

O coż szło? Prosiła go o bagatelkę, na której nie tylko nie mógł stracić, ale jeszcze dobrze zarobić...

Dziedziczka bała się pozostać na folwarku w sąsiedztwie i towarzystwie księdza-waryata.

Z poprzedniego pobytu swego na tem wygnaniu pamiętała, że mąż wydał tu pod każdym względem tak ściśle polecenia, iż nie byłby jej nikt dopomógł do ucieczki z tego więzienia.

Ludzie się bali poprostu, skoro im raz dziedzic zakazał. Każdemu powiedziano, że pani nie wolno opuszczać folwarku pod żadnym pozorem, pod żadnym warunkiem.

Dawniej uciekała ona nie zamierzała ani razu jeszcze, ponieważ nie miała dokąd udać się, znajdując się zresztą materyalnie w tem położeniu, że dosłownie była sama bez grosza i nie rozporządzała ani fenikiem.

Dziś przyjechała tu wprawdzie tak samo bez pieniędzy, jednakowoż stosunki zmieniły się już o tyle, że miała teraz dokąd się schronić.

Ale pieszo nie pójdzie tyle mil do Chocimskich. Jechać zaś niema czem...

Nikt na folwarku nie da jej koni. To samo w okolicy. Każdy boi się dziedzica...

Trafia się zatem jedyna okazyja szczęśliwa: użyć w tym celu żyda-faktora.

Proponowała mu, żeby wystarał się jej o konie do Chocimskich, za co ona mu sownie zapłaci.

— Ale kiedy, proszę jaśnie pani dziedziczki? Kiedy?

— Zaraz na miejscu u Chocimskich...

— A jeżeli oni nie zechcą zapłacić, nu, co wtedy będzie?

— Nie oni zapłacą, tylko ja sama.

— Nu, to niech mnie jasna dziedziczka zapłaci naprzód moje pieniądze... Przecie ja muszę wydatkować sam zaraz, mnie nikt nie będzie na pieniądze czekał...

— Tłómaczę ci, że możesz za mnie spokojnie wydać naprzód, a ja ci z procentem grubym zwrócę na miejscu.

— Ja rozumiem przecież, ja sam wiem, że jasna pani nie chciałaby pokrzywdzić biednego żydka... Ale ja też wiem, że pani może nie mieć...

— Człowieku, czyż tu idzie o majątek... Taka bagatela i nie mógłbyś na nią czekać przez parę godzin.

— Czekać, czekać... przepraszam jaśnie dziedziczkę... ale pani także poczekać może sobie na folwarku, a jak będą pieniądze, to sobie jasna pani każe zaprzęgać i pojedzie...

Aż poruszyła się na łóżku pani Edwardowa, słysząc te słowa. Byłaby najchętniej za drzwi w tej chwili wyrzuciła aroganckiego faktora. A jednak musiała pozwolić ubliżyć sobie, byle znaleźć sposób ucieczki.

— Więc nie chcesz zarobić sobie — spytała, siląc się mimo wszystko na spokój.

— Czemu ja bym nie chciała... Zarobić to ja zawsze potrzebuję, z czego by ja żył z moją żoną, albo co bym ja dał swoim dzieciom jeść... Nu, ale co ja mogę na takim kiepskim interesie zarobić?... co to jest warte zachodu? Po co ja potrzebuję zadzierać z takim dobrym panem, jak nasz dziedzic... Co ja mam pani powiedzieć, kiedy jasna pani jeszcze lepiej ode mnie wie, jak jest z tym interesem...

Zagryzła wargi, lecz mu nic na to nie odpowiedziała. A żyd kręcąc się i skrobiąc w brodzie, mówił dalej:

— Nu, co ja temu winien... Ja mam ciągle różne interesa z jasnym panem dziedzicem i z jego siostrą robię także różne interesa...

— Z jego siostrą — powtórzyła sobie w myśli pani Edwardowa.

— Niech pani tak sama powie, czy ja mogę narażać się na takie nieprzyjemności... Jabyłbym potem wszystko stracił, a od jasnej pani, to bym zarobił za ten interes wszystkiego niedużę parę fenigów, moja pani.

— A czy to we dworze o tem muszą wiedzieć — spytała go nagle — że to akuratnie tyś mnie dopomógł... Postarasz się o furmankę dla mnie, przyslesz mi ją tutaj na folwark, ja dojadę do Chocimskich, a ty jadąc tamtędy koło nich, wstąpisz odebrać sobie pieniądze. Zapłacę ci trzy razy tyle, co będzie kosztowała furmanka.

Żyd zaczął się kiwać i przestał mówić. To się jej wydało dobrym znakiem, więc zaczęła nalegać na niego.

— Bądź spokojny, ja tam będę miała dość pieniędzy... Tam już są przygotowane dla mnie pieniądze moje, Teklunia już mi je tam zostawiła...

Faktor się namyślał.

— Przyslesz mi dziś konie?

— Aj... aj... czemu pani się tak śpieszy?

— Dziś chciałabym koniecznie na noc być już u Chocimskich...

— To nie może być.

— Kiedy nie chcę tu spać ani jednej nocy...

— Boi się jasna pani tego miszygiene... Przecie można się na noc na klucz zamknąć przed nim, to on nic nie zrobi złego...

Targ w targ, zgodził się faktor przysłać następnego dnia przed zachodem słońca dopiero bryczkę, któraby miała zawieźć dziedziczkę do domu Chocimskich.

Ale zanim żyd dał stanowczą odpowiedź, dostał do rąk od pani Edwardowej dwa srebrne świeczniki z jej toalety.

Zrozpaczona kobieta, innej rady nie widząc, musiała na to przystać.

Faktor opuścił folwark.

Pani Edwardowa zaś przez cały dzień ze swego pokoju nie wychodziła ani na chwilę.

Bez przerwy słyszała księdza Jana, jęczącego głośno. Były chwile, kiedy wybuchał płaczem spazmatycznym. To znowu mruczał monotonna modlitwę, poczem słowa przechodziły już w krzyki lub jęki i nie milkły całymi godzinami do samego wieczora.

Uspokoił się o zmierzchu.

Od słuźce dowiedziała się, że dopiero teraz, gdy zmiotł napełnił pokój, ksiądz wstał z łóżka i przyśpiawszy się nieco, zaczął chodzić miarowym krokiem po mieszkaniu, stukając głucho butami po podłodze, wśród ciszy, dokoła panującej w domu.

Ten odgłos kroków waryata, w milczeniu biegającego wśród czterech ścian, jak zamknięty niedźwiedź w klatce — napełnił duszę i tak zdenerwowanej do najwyższego stopnia kobiety, trwogą większą, niżeli wprzód jego krzyki.

Wcisnęła głowę między poduszki, byle tych kroków nie słyszeć.

Znużona wreszcie zasnęła.

Kiedy się obudziła, było już dawno po północy. Ciemność i cisza zalegały pokój. Od księdza Jana nie dochodziły teraz żadne odgłosy. Miał widocznie spać...

To jej jednak nie uspokoiło. Czuliła się wprawdzie wielce osłabiona i chętnie byłaby się na dobre położyła do łóżka, ale obawiała się rozebrać. Więc podeszła cicho do drzwi swoich, spróbowała i przekonawszy się, że są dobrze zamknięte, usiadła w rogu łóżka w ubraniu i szalem okryta.

Tak czuwała w dalszym ciągu, obiecując sobie przespąć się dopiero za dnia białego, gdy ludzie będą chodzili po domu i będzie się czuła bezpieczniejszą.

Minęło tak parę godzin, gdy naraz coś stuknęło w okno.

(Ciąg dalszy nastąpi).